

# Czarna giełda '41

„Handel walutą jest grą w ciemno, grą hazardową, w której część ludzi wygrywa wielkie bogactwa, a inni łamią sobie kark” – pisał Eliasz Gutkowski, sekretarz Oneg Szabat, bliski współpracownik Emanuela Ringelbluma. W dalszych słowach tej relacji mowa jeszcze o karierach i zamiłowaniu do wielkiego ryzyka: „Nowo przybyły kupiec waluty zrujnowany przekształca się w maklera, który przeklina ten dzień i chwilę, kiedy zapoznał się z ulicą Pawią. Ale magnatowi giełdowemu możliwość szybkiego wzbogacenia się nie pozwala porzucić tego domu gry pod gołym niebem”.

Ul. Pawia, fotografia ze zbiorów Muzeum Getta Warszawskiego



Wśród dokumentów zgromadzonych przez „Oneg Szabat” znaleźć można wiele informacji o Żydach uwięzionych w getcie, którzy – pozbawieni pracy i skazani na egzystencję – przy wsparciu gettovej ulicy i handlarzy starzyzną, wyzbywali się za marne pieniądze resztek majątku. I choć

pozbywali się rzeczy za bezcen, to dla wielu Żydów zamkniętych w getcie, było to jedyne źródło utrzymania. W tych zbiorach nie brak też świadectw o tych, którzy niegdyś zaliczani byli do tzw. klasy średniej. Tacy w ciężkich czasach na różne sposoby starali się zabezpieczyć na bliżej nieokreśloną przyszłość. Kupowali to, co w ich przekonaniu nigdy nie straci na wartości (obcą walutę, złoto, srebro czy brylanty), i kryli te dobra w schowkach lub u polskich przyjaciół po „aryjskiej stronie”. Ale tylko jeden jest dokument ukazujący „od środka” ten fragment gettowego krajobrazu, gdzie na wielką skalę prowadzony był handel wszelką walutą. Gutkowski przez cały rok 1941 poznawał „walutowy rynek” i środowisko „waluciarzy”, by wyniki „badań” w 1942 r. przekazać do „Oneg Szabat”. Opracowanie nosi tytuł: „Czarna giełda”.

Nie wiadomo kiedy ani dlaczego „czarna giełda” powstała na Pawiej. Gutkowski pisze, że już w pierwszych dniach od wybuchu wojny niewielki obszar – fragment Pawiej w kierunku Więziennej – opanowany został przez tłumy Warszawiaków: „Żydzi zaczęli skupywać polskie banknoty stużłotowe, Polacy dolary i «szmelcowe» złoto, srebro i kosztowności. Rozpoczęła się pierwsza hossa kupców «na po wojnie», żeby «zamurować». Wynikało to z permanentnego braku poczucia bezpieczeństwa ludności żydowskiej i polskiej, a także ze ściśle związanej z tym chęci ulokowania kapitału w broniącej się walucie – w dolarze”. Można było odnieść wrażenie, że „waluciarze” byli tam „od zawsze”. Być może myśleli, by codzienny widok sąsiadującego z „Czarną giełdą” wielkiego kompleksu więziennego (znany jako „Pawiak”, położony był między ulicami Dzielną, Więzienną i Pawią), uczył ich pokory? Lub przeciwnie, pozwalał im zakpić ze stworzonej przez Niemców rzeczywistości: „Żydzi warszawscy zostali zamknięci w murach getta i boją się własnego cienia, ale w samym sercu tego getta odbywa się, prawie swobodnie, handel obcymi walutami: dolary przechodzą z ręki do ręki – pisał Gutkowski – Krzycząca pogarda dla zarządzeń okupanta i jego drakońskich praw”.

## Sądy na Lesznie; fotografia ze zbiorów Muzeum Getta Warszawskiego



Niezależnie od tego, jak emocje kazały „graczom giełdowym” potraktować Pawią, jedno w 1941 r. było pewne – tam mieściła się centrala walutowa „na Warszawę i prowincję Generalnego Gubernatorstwa”. Poza „centralą” w getcie była jej filia – na Twardej. O ile w tej pierwszej ustalane były dzienne (a niekiedy godzinowe) kursy poszczególnych walut oraz – siłą rzeczy – „obrót” tym towaram, o tyle w drugiej – poza samym handlem, waluta była także eksportowana. O sprawnym przepływie pieniędzy ze świata „żydowskiego” do „aryjskiego” decydowała lokalizacja wachy. Taka mieściła się przy Granicznej. Była ważna nie tylko dlatego, że posiadający przepustkę (albo pieniądze) mógł legalnie (albo nielegalnie) granicę przekroczyć, lecz dzięki temu, że łączyła „rynki walutowe”. Z filii „giełdy” żydowskiej – w linii prostej – wiodła kilkusetmetrowa trasa do wachy. Od niej sprawny „waluciarz” musiał pokonać drugie tyle, by dotrzeć do działającej przy ulicy Królewskiej – polskiej „czarnej giełdy”. W samym getcie była jeszcze jedna giełda. Mieściła się w sądach grodzkich na Lesznie. Dzięki możliwości legalnego wejścia do gmachu sądowego od strony „aryjskiej” i tak samo „żydowskiej”, Polacy i Żydzi handlowali walutami, złotem, biżuterią oraz fałszywymi dokumentami. Chociaż „czarna giełda” z Pawiej miała siłą sprawczą na gettowym rynku walutowym, to źródłem informacji o wartości walut w danym dniu miała być „giełda sądowa”. Pod koniec grudnia 1940 r. dużą popularnością cieszyło się powiedzenie: „Słyszałem coś nowego: «Gdzie mieszka wujek Pinchas? Na Leszno 42» –pisał Hersz Wasser – Co oznacza: «Jak wysoko stoi dolar? 42 zł»”.



## Dolar amerykański, 5 rosyjskich rubli (domena publiczna)



W notatce z tego okresu Wasser zwrócił jeszcze uwagę na zmianę walutowej nomenklatury. Najcenniejsze – złote dziesięciodolarówki – były nazywane „twardymi”, dolarowe banknoty (niezależnie on nominału) – „miękkimi”, zaś złote pięciorubłówki – „świnkami”. W giełdowym obiegu były także niemieckie marki określane zamiennie jako „Niemiec” lub „jeke” (z jidysz – dosłownie: cholera; w żargonie waluciarzy: Niemiec) oraz angielskie funty zwane „bibułą”. Na czarnej giełdzie swoją rolę odgrywały tzw. „młynarki” (pieniądze emitowane w GG od nazwiska

szefa Banku Emisyjnego podporządkowanego niemieckim władzom). „Miękkie” były na czarnej giełdzie towarem bardzo popularnym. Doświadczeni waluciarze grali nie tylko na ich wartości ale także na... wyglądzie. Wystarczyło, że banknot miał plamę lub był pobrudzony, by giełdziarz wmówił sprzedającemu, że tym samym stracił na wartości. Te banknoty, które faktycznie uległy uszkodzeniu (w języku waluciarzy były to tzw. destrukty), były wysyłane poza granice Generalnego Gubernatorstwa i wymieniane na nowe: „Mądra transakcja, na której można zarobić od 20 do 30%. I wszystko to bez ryzyka odnośnie do kursu. Na takie transakcje mogą pozwolić sobie jedynie grube ryby. Przed nimi stoi otworem cały świat. Robią to bez zamętu na Pawiej”. Gettowe legendy mówiły, że poza walutą legalną po walutowym rynku krążyły też fałszywki. Powtarzały się pogłoski o mennicach, w których specjaliści wyrabiali ze „złomu” (szmelcowe złoto – kruszec uzyskiwany z przetopionego złotego złomu) i puszczali w obieg „twarde” i „świnki”. „Każdy fach ma swoich speców – donosił Gutkowski – ale speców od walut można znaleźć tylko na ulicy Pawiej”. Ringelblum dodawał: „Walutą «made in getto» będą musiały zapewne zająć się po wojnie banki narodowe odpowiednich państw”. Profesjonalizm miał być na tak wysokim poziomie, że niekiedy nawet waluciarze nie odróżniali „lipy wśród niesfałszowanych monet”.

Wszystkie waluty miały swoją wartość. Wielu świadków wydarzeń z tego okresu notowało w swych dziennikach „wahania” na rynku walutowym. Punktem odniesienia była siła nabywcza „młynarki” w stosunku do „twardego” i „miękkiego”. Ringelblum uważał, że decydowały o tym wydarzenia na arenie międzynarodowej czy terenach okupowanych przez Niemców oraz przebieg działań zbrojnych. W kwietniu 1941 r. pisał: „Drożyzna i dolar skaczą w zależności od pogłosek o wojnie z Rosją. Historia ta stale się ostatnio powtarza, gdy tylko rozchodzą się słuchy o wojnie. Produkty natychmiast znikają, zaś chleb i dolar idą w górę”. Tuż przez wybuchem wojny Niemiec z ZSRR w getcie zapanowała giełdowa gorączka: „(Był to) tydzień, kiedy każdy tragarz, szewc, a nawet sprzedawca uliczny – wspominał Gutkowski – chce pozbyć się swoich «młynarek» i kupić sobie za nie choćby jednego «miękkiego»”. „Ruchy giełdowe” pobudzały także – krążące po getcie – coraz to nowe plotki i pogłoski związane z bieżącymi wydarzeniami (w maju 1941 r. popularna była „Göringiada” o rzekomej śmierci Hermanna Göringa, czy też ucieczka Rudolfa Hessa do Anglii), wspierane przez aktywność samych waluciarzy: „Momentami wydaje się jak gdyby «młynarki» już wymierały jako waluta obiegowa i że jutro już nie będzie można za nie kupić kawałka chleba. Z ust do ust kursują fantastyczne plotki: «młynarki» są wycofywane z



obiegu, są dewaluowane, są już drukowane banknoty o wartości tysiąca, pięciu tysięcy. W sklepach spożywczych chowa się produkty. Nikt nawet przez chwilę nie chce trzymać u siebie w kieszeni złotego. Każdy chce «być kryty». Wówczas wartość jednego „twardego” wzrosła z kilkudziesięciu do ponad dwustu złotych. Ringelblum uważał, że takie „skoki” to giełdowe anomalie: „Wahania cen są jednym z najbardziej charakterystycznych zjawisk wskazujących na nienormalne warunki panujące podczas wojny w getcie”. I pytał dalej: „Dlaczego dolar skacze? Dlaczego spada? Czy jest w tym jakaś logika?”. Być może dlatego, że był historykiem nie ekonomistą, nie przyjmował do wiadomości zasad obowiązujących „na deskach” każdej, nawet tej nielegalnej, gettowej czarnej giełdy. A wsparcie dla niej stanowić miała – uznawał wprost Gutkowski – „ludzka naiwność i głupota”. Dla waluciarzy „fakty polityczne (oraz) porażki i zwycięstwa jednej z prowadzących wojnę stron” były tylko środkiem do tworzenia giełdowej atmosfery („hossy i bessy”), inaczej zaś dla „prywatniaka” – stawały się motywem kupna lub sprzedaży waluty. Waluciarze „tylko” pośredniczyli w tym procesie: realizowali ich potrzeby.

## Młynarki (domena publiczna)





Każdy mógł brać udział w życiu czarnej giełdy. Gutkowski pisał: „«Gracze» rekrutują się z różnych elementów: chasydów, przechrztów, inteligentów. W bukiecie «graczy» nie brakuje żadnego kwiatuszka. Setki Żydów jadło już chleb z pieca na Pawiej. Wielu odpada, ale jeszcze więcej przybywa”. Otoczką giełdy na Pawiej był przestępczy półświatek. Hierarchicznie podzielony – począwszy od ludzi dintojry („sądu” stojącego w służbie „złodziejskiej uczciwości”), po mieszaną kłódziei, opryszków, oszustów i donosicieli (w przestępczej gwarze – grandziarzy, często ludzi współpracujących z tzw. granatową policją) – stanowił zagrożenie dla tego, kto po raz pierwszy zawitał na Pawiej. Zdarzało się, że taki klient „wracał do domu z pustymi rękoma, w najlepszym wypadku bez dolarów i bez złotych, a często również z obitymi bokami”. Sens istnienia czarnej giełdy uzasadniali zawodowi waluciarze (Gutkowski nazywał ich arbitrażystami), którzy handlowali walutą w getcie albo eksportowali go poza Warszawę. „Eksporterzy” zawiązywali giełdowe spółki: „Telefon, telegraf i inne środki szybkiej informacji umożliwiają pracę arbitrażystów. Lepiej sytuowane materialnie przedsiębiorstwa spółkowe mają swoich przedstawicieli we wszystkich większych miastach Polski, a nawet za granicą”. Interes był intratny skoro poza Warszawą wartość dolara – „twardego” i „miękkiego” – były średnio o 20-30% wyższa.

Żywotność eksporterów wynikała z braku biurokracji, przenikliwości, elastyczności, gotowości na ryzyko oraz umiejętnego obracania kapitałem. Ci ludzie – najważniejsi w giełdowym układzie sił –

do realizacji zadań poza gettem wykorzystywali „giełdowy proletariat”: „Handel walutą w kraju odbywał się za pośrednictwem tzw. buksów – pisał Ringelblum – tzn. kurierów rozwożących walutę po kraju «na sobie», a często «w sobie» (w kieszce stolcowej)”. W tę profesję zawodową wpisane było ryzyko: „Przewiezienie waluty z jednego miejsca na drugie, będąc pod obserwacją niemieckich żandarmów, nie należy do rzeczy łatwych. System nerwowy «buksa» nie jest w stanie długo tego wytrzymać. W ten sposób mnożą się fizyczne ofiary «arbitrażu»”. Pomiędzy arbitrażystą a „buksem” był jeszcze jeden pracownik gettovej giełdy: makler. Był ex-gracem, którego za „grzechy” (łamanie niepisanych zasad giełdy, jak „nieuczciwe” wchodzenie w drogę innym waluciarzom) wypędzono z giełdy. Jeśli wracał to wyłącznie do roli pośrednika między giełdowym kupcem a klientem.

## Żydowska Służba Porządkowa w getcie warszawskim (Bundesarchiv)



Wszystkie ruchy na czarnej giełdzie wskazywały, że był to żywy, samoregulujący się organizm. Jednak w tym gettowym świecie nie mogło zabraknąć kontroli zewnętrznej. Dlatego nad nielegalną giełdą nieoficjalnie „czuwała” legalna instytucja: Żydowska Służba Porządkowa. A ściślej komendantura IV obwodu ŻSP z siedzibą na Gęsiej (Gutkowski błędnie pisze o „policji z Nowolipek”; na tej ulicy nie było komendy ŻSP). „Dzień w dzień «pan doktor» biega na swoich



długich nogach ze skórzaną teczką pod pachą szukając ofiar. Złapawszy «ważniaka» zabiera go grzecznie do bramy i zaczyna rewidować. Wysokość «honorarium» za taką «wizytę» zależy od rezultatu «badania» (od tego pochodzi jego przydomek!). Najczęściej opłata wynosi 50% znalezionej, resztę otrzymuje z powrotem pechowy «pacjent» i sprawa załatwiona». O ile w pierwszych tygodniach od stworzenia tzw. „dzielnicy zamkniętej” tego typu działania nie były jeszcze skoordynowane – gdy policjanci „tropili” waluciarzy, a ci starali się „uniknąć” kontaktu z władzami – o tyle wiosną 1941 r. zostały one uregulowane niepisaną umową dowództwa policji żydowskiej z przedstawicielami giełdy. „Trzeba przyznać, że większość «waluciarzy» to ludzie z «honorem» i dotrzymują słowa. Ci, którzy przyrzekli dawać każdego pierwszego dnia miesiąca (pieniądze) nie przeciągają tego w nieskończoność i płacą regularnie. Trzymają się starego niemieckiego powiedzenia: «Żyj i pozwól żyć». W tym porządku był tylko jeden kłopot – nieustannego ruchu na Pawiej: „Każdego dnia dochodzą nowi wspólnicy, a główną plagą ulicy Pawiej są «wolni» szpicle z innych części miasta, łobuzy, donosiciele i zwykli aferzyści”.

Gettowy rynek walutowy był socjologicznym obrazem nastrojów panujących na żydowskiej ulicy. Gdyby dolara uznać za „przedmiot” do „szczęścia” czyli środek dający nadzieję na przetrwanie, a starania klienta o jego nabycie za wyraz „potrzeby”, to w tym układzie waluciarzowi na „czarnej giełdzie” pozostawało dać to „szczęście” klientowi. Taka układanka przetrwała do lipca 1942 r. Potem, na skutek „Wielkiej Akcji” (22 lipiec – 21 wrzesień 1942 r.), „czarna giełda” straciła rację bytu. Zabrakło sprzedawców i nabywców „szczęścia”. Handel walutą zszedł do podziemi. Był tylko cieniem tego, co niegdyś na Pawiej...

***dr Paweł Wieczorek***

---

**Autor:** dr Paweł Wieczorek

**Data publikacji:** 2022-10-16

**Data wydruku:** 2023-02-19 20:28

**Źródło:** <https://1943.pl/artukul/czarna-gielda-41/>